

Zmierzch i upadek rządów republikańskich w Ameryce



Ronald J. Pestritto świetnie wykonał zadanie, dostarczając nam zwięzłego opisu ideologicznych źródeł państwa administracyjnego, jego ewolucji i prób Donalda Trumpa oraz niektórych jego poprzedników, by go okiełznać. Zasadniczo czwarta gałąź rządu, państwo administracyjne przejęło większość funkcji rządu, jednak nie odpowiada bezpośrednio przed żadnym wybranym urzędnikiem.

Jego ustanowienie i rozwój zakłada istnienie tego, co Hegel nazwał „klasą uniwersalną” – bezstronną, życzliwą, wszechmądrą grupę Platonskich Strażników zdolnych lepiej się nami opiekować, niż bylibyśmy w stanie zrobić to sami, nawet gdybyśmy byli obdarzeni obfitymi środkami. Taki układ wystawia na pośmiewisko nasze przeświadczenie, że jako istoty ludzkie mamy zdolność samorządzenia i że jest to naszym obowiązkiem. Jak może istnieć wolność i odpowiedzialność osobista, gdy nasze postępowanie regulowane jest w niemal każdym szczególe przez jednostki, nad którymi nie mamy żadnej dźwigni? I jak może istnieć zadośćuczynienie za krzywdy, gdy nasi prawdziwi władcy są w dużej mierze poza naszym zasięgiem?

Można powiedzieć coś więcej. Na początek nasi administratorzy nigdy w pełni nie sprostali standardowi wyznaczonemu przez Hegla. Na przykład od samego początku Internal Revenue Service używało swojej władzy i dostępu do informacji, by szantażować członków Kongresu i prześladować obywateli, których poglądy nie są przychylnie widziane przez sprawującą władzę

administrację prezydencką.

Pod tym względem sprawy są teraz gorsze niż kiedykolwiek. Etyka zawodowa poszła w zapomnienie w całym kraju. Bezstronności, życzliwości i mądrości brakuje. Prawnicy praktykują prawo jako rodzaj wojny i robią to bezkarnie. Temat jest nawet wykładany w szkole prawniczej. Prokuratorzy działają w rażąco stronnicy sposób, a sędziowie uważają, że mają prawo kształtować politykę publiczną. Do tej pory żaden z tych złoczyńców nie został wykreślony z listy adwokatów.

Ponadto, jak dowiedzieliśmy się podczas lockdownów z powodu koronawirusa, to samo można powiedzieć o zawodzie lekarza. Nikt przy zdrowych zmysłach nie polegałby na profesjonalizmie i uczciwości tych, którzy pracują dla CIA, FBI, IRS, CDC, USAID, FEMA lub jakiegokolwiek innej agencji federalnej. Bezstronni? Życzliwi? Wszechmądrzy? Nikt nie przypisałby tych cech naszym biurokratom. Zbyt często są oni stronnicy, dbający o własne interesy, próżni, złośliwi i głupi. W coraz większym stopniu przestali być sługami społeczeństwa, a zamiast tego stali się narzędziami drobnej i nie tak drobnej tyranii.

Chciałbym sądzić, że Donald Trump zdoła to zakończyć. Gdyby mu się udało, agencje wykonawcze przeszłyby pod kontrolę urzędnika, który swoją władzę zawdzięcza elektoratowi i który byłby pociągany do odpowiedzialności przez ogół społeczeństwa – co byłoby bardzo korzystne. Za to, co byśmy zyskali, moglibyśmy jednak słono zapłacić. Skoncentrowałoby to ogromną władzę w rękach jednego wybranego urzędnika. Najprawdopodobniej nie trwałoby długo, zanim prezydent uległby pokusie i zaczął wykorzystywać tę władzę dla własnej korzyści oraz dla korzyści swoich przyjaciół i współpartyjników. Gorzki smak tego poznaliśmy za administracji Obamy i Bidena.

Oczywiście Kongres mógłby wkroczyć, co byłoby błogosławieństwem. Członkowie Izby Reprezentantów i Senatu są bliżej ludzi niż prezydent. Są bardziej zależni od ludzi w

kwestii swojego przyszłego dobrobytu niż on, i są o wiele bardziej skłonni reagować na publiczne narzekania. Gdyby Kongres miał przejrzeć ustawodawstwo regulujące działanie różnych agencji wykonawczych, mógłby zaostrzyć język, uczynić go bardziej precyzyjnym, a tym samym pohamować biurokratów. Byłoby to jednak gigantyczne zadanie, które prawdopodobnie zajęłoby dekadę lub więcej, zadanie, którego Kongres prawdopodobnie by się nie podjął.

Nasi kongresmeni i senatorowie są, z niezwykle rzadkimi wyjątkami, profesjonalnymi politykami – i, szczerze mówiąc, są w większości ignorantami i tchórzami, o wiele lepszymi w pozowaniu publicznie niż w poświęcaniu się dobru publicznemu. Dla nich reelekcja to nie tylko troska – to ich główna obsesja. Odpowiada ich celowi unikanie odpowiedzialności poprzez pozostawianie tworzenia polityki tym, którzy są w pełni chronieni przed gniewem społeczeństwa. Jeśli sformułowania w ustawie upoważniającej agencję wykonawczą są zwykle niejasne, jest to celowe: ta wada jest cechą, a nie błędem.

Inną opcją byłaby dewolucja. Rządy lokalne i stanowe są znacznie bliżej ludzi niż lewiatan z siedzibą w Waszyngtonie. Ponadto warunki znacznie różnią się w zależności od lokalizacji. Polityka publiczna powinna zwracać baczną uwagę na lokalne uwarunkowania; skargi są łatwiej rozstrzygane na poziomie lokalnym. Tutaj jednak pojawia się kolejna przeszkoda.

Wezwanie Ronalda Reagana do „nowego federalizmu” spotkało się ze zdecydowanym oporem gubernatorów i ustawodawców stanowych (wielu z nich to republikanie). Lokalni notable, podobnie jak ci na szczeblu krajowym, często bardziej koncentrują się na ponownym wyborze niż na rządzeniu i, z rzadkimi wyjątkami, nie są bynajmniej chętni do wzięcia odpowiedzialności. Państwo administracyjne nigdy by nie powstało i nigdy by się znacznie nie rozrosło, gdyby nie zmowa wybranych polityków – krajowych, stanowych i lokalnych – którzy byli chętni uchylać się od

odpowiedzialności, zrzucać ją na innych i być wybieranym ponownie.

Kolejną alternatywą byłoby ograniczenie zakresu rządu i pozostawienie jednostek bardziej samym sobie. Państwo opiekuńcze tłumi inicjatywę osobistą. Inspiruje nudę i sprzyja lenistwu, nieodpowiedzialności, uzależnieniom i przestępczości. W jego nieobecności konieczność zmusiłaby Amerykanów do większej odpowiedzialności za własne dobro, do cięższej pracy i większej inicjatywy. Byłoby to dobre dla naszego charakteru narodowego. Zwiększyłoby to znaczenie rodziny i zachęciłoby do współpracy na szczeblu lokalnym.

Takiej reformie stawiany byłby jednak zaciekły opór – i to nie tylko ze strony jej rzekomych beneficjentów i innych, którzy czerpią korzyści z państwa opiekuńczego. Są urzędnicy na wszystkich szczeblach, którzy lubią kierować życiem innych. Państwo opiekuńcze nagradza wścibskich, a ci w „zawodach pomocowych” są liczni, głośni i dobrze zorganizowani. Politycy wiedzą lepiej niż robić cokolwiek, co zniweczy oczekiwania.

Sytuacja może wydawać się beznadziejna, ale tak nie jest. To, co nie może trwać wiecznie, nie będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia system wspierający państwo administracyjne upadnie, a to ostatnie się rozpadnie. Jak zauważyła kiedyś Margaret Thatcher, prędzej czy później zabraknie ci pieniędzy innych ludzi. Uważam, że ten dzień jest bliski. System ubezpieczeń społecznych jest już prawie bankrutem. Z pewnością można by go przez jakiś czas wspierać poprzez podwyżki podatków. Ale prawo do opodatkowania jest prawem do niszczenia, i nadchodzi czas, gdy podnoszenie podatków dramatycznie redukuje aktywność gospodarczą, a wraz z nią wpływy.

Podobnie, nasz dług narodowy jest nie do utrzymania. Dotarliśmy już do momentu, gdy odsetki od tego długu są największą pozycją w budżecie federalnym. Przekracza już teraz to, co płacimy na obronność, a różnica między nimi się powiększa. Gdyby dolar nie był międzynarodową walutą

rezerwową, jego wartość już by się załamała, a Stany Zjednoczone przypominałyby dawną Argentynę. Trudno uwierzyć, w obecnych okolicznościach, że dolar długo utrzyma swoją pozycję w systemie międzynarodowym. Gdyby nasi przyjaciele w Europie nie byli bardziej rozrzutni niż my, euro odgrywałoby teraz rolę, jaką dolar odgrywał od dawna.

Na horyzoncie jest jeszcze jeden kataklizm, który mógłby obalić cały system. Od około 35 lat cierpimy na arenie międzynarodowej z powodu nieroztropnego zarządzania. Nasi przywódcy – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w krajach z nami sprzymierzonych – żyli w marzeniu: z końcem zimnej wojny myśleliśmy w kantowskim stylu, że bogactwo handlowe zagwarantuje pokój. Jednak skończyło się na tym, że celowo wspieraliśmy odrodzenie Rosji i ogromny wzrost bogactwa i potęgi Chin, jednocześnie pozbawiając się przemysłu ciężkiego i wytwórczego.

Teraz, w czasie, gdy jesteśmy prawie bankrutami, mamy perspektywę wojny w Europie i kolejnej w Azji. Nasza zdolność do prawdziwej walki stoi pod znakiem zapytania. A gdybyśmy musieli to zrobić, wydatki położyłyby kres państwu opiekuńczemu – i, niestety, wielu innym rzeczom.

Żadna z perspektyw nie jest w jakikolwiek sposób pocieszająca. Nie jest jasne, czy republika amerykańska, już i tak uszkodzona, przetrwałaby którąkolwiek z katastrof. Jako jednostki musimy być przygotowani na najgorsze. Ponieważ, jako samorządny lud, popełniliśmy niemal samobójstwo, a żaden naród na horyzoncie nie mógłby nas uratować, tak jak my uratowaliśmy Brytyjczyków i Europę w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Być może będziemy mieli szczęście i nasi rywale skończą, z powodu szaleństwa przyćmiewającego nasze własne, w jeszcze gorszym stanie. Być może faktycznie zajmiemy się naszymi najpoważniejszymi problemami i sprowadzimy je do względnej nieistotności. Z pewnością mam taką nadzieję, ale nie sądzę, żeby był jakikolwiek powód do optymizmu.

Paul A. Rahe